

Marek B u ś – WYKA O NORWIDZIE

Kazimierz W y k a, *Cyprian Norwid. Studia, artykuły, recenzje*. WL. Kraków 1989 ss. 372.

Przypadek Wyki stanowi w norwidologii i w dziejach kultu Norwida zjawisko szczególne. Nikt tak wyraźnie jak on nie deklarował własnej, będącej przedmiotem swoistej dumy, przynależności do – jak go nazywał – klanu norwidystów; w tym względzie był niewątpliwie miłośnikiem czy wręcz „wyznawcą” Norwida. Z drugiej strony nikt z twórców i badaczy, uważanych za wyznawców poety, nie zgłosił wobec obiektu kultu i grona „współwyznawców” tyłu zastrzeżeń i pretensji. Ta ambiwalencja urzeczenia i odrzucenia, wierności i rewizjonizmu cechuje Wykę przez dziesięciolecie, dzielące młodzieńcze urzeczenie od dojrzałej afirmacji z lat ostatnich.

Jeśli jest Wyka wyznawcą, to takim, w którym żarzy się płomień buntu, rewizji, nieufności, który ciągle sprawdza dane swojego stosunku do umiłowanego wzoru. Stąd, jeśli wolno tak uprościć, norwidowski wątek jego złożonej osobowości i praktyki krytycznej skupia w sobie jak w soczewce ogólniejsze konflikty właściwe XX-wiecznej recepcji Norwida.

Po siedmiu latach od ukazania się omawianego tu zbioru<sup>1</sup> trudno o ocenę tylko recenzyjną. Książka jest ważna, tak ze względu na Norwida, jak i na Wykę, nie tak łatwo bowiem rozstrzygnąć, „o kim” ona jest bardziej. Wszystkie prawie z licznych książek Wyki, niezależnie od tego, czego dotyczą, w znacznej mierze charakteryzują jego samego, tak mocno przesyczone są personalną perspektywą, autorskim stylem. Tutaj ta miara należy do najwyższych, bo też i temat „Norwid” (bardziej osoba i duchowość niż twórczość, stąd tytuł wydaje się arcytrafny) należał u Wyki do najbardziej gorących.

Książka, wydana w znaczącym nakładzie 7000 egzemplarzy, jest zbiorem prac naukowych, krytycznych i publicystycznych (acz o rozróżnienia niełatwo, bowiem te trzy postawy krzyżują się, w różnych proporcjach, we wszystkich tekstach); na długie lata będzie zapewne poręcznym źródłem do badań nad Wyką-norwidystą, ale

---

<sup>1</sup> Dalej przytoczenia z książki będą lokalizowane tylko przez podanie w nawiasie numeru odpowiedniej strony (stron).

też krytykiem, badaczem, człowiekiem. Pierwszym więc zadaniem, jakie się tu rysuje, jest ocenienie jakości edycji, jej naukowej i czytelniczej przydatności. Zebranie w jednym miejscu większości wypowiedzi jednego z najwyrazistszych przedstawicieli „klanu norwidystów” (341) prowokuje jednak do pytań o stosunek Wyki do Norwida; to niewątpliwie miłość, ale miłość powikłana i dramatyczna, podlegająca zawirowaniom historii i dzielona z innymi mieszkańcami „wspólnego pokoju”: miłośnikami, popularyzatorami, badaczami, ale też wyznawcami i zoilami poety. To, z innej strony rzecz ujmując, pytanie o udział Norwida w kształtowaniu się moralnych i historiozoficznych elementów światopoglądu Wyki, jego postawy badacza, krytyka i miłośnika sztuki, zwłaszcza literackiej, może nawet społecznych i życiowych postaw, bo i tu bywał Norwid wzorem. Sławna i osławiona, wielokrotnie przez Wykę podkreślana (może nawet czasem z pewną przesadą) komplikacja zjawiska „Norwid”, złożoność tej twórczości, nasuwa pytania inne: Jak Wyka sobie z tą złożonością poradził? W jakiej mierze rozwikływał ją trafnie? Co wybierał jako własne? Co cenił, co ganił? Czy w tej ocenie dominował profesjonalizm badacza, czy prywatna fascynacja miłośnika, osobiste upodobania i nieupodobania?

Tylko wspomniane pierwsze, najbardziej techniczne i zewnętrzne zadanie może być tutaj spełnione w miarę całościowo. Odpowiedzi na niektóre inne, bez wątpienia ciekawsze, będzie można tylko zarysowo zaproponować. To pewna ucieczka i źle byłoby usprawiedliwiać ją tylko tym, że w recenzji „nie ma dość miejsca”. Nie o miejsce bowiem chodzi. Kwestia: Wyka-norwidysta jest bowiem tylko częścią, choć częścią ważną, kwestii: Wyka (człowiek, badacz, krytyk), stąd każda próba jej rozwiązania, nie uwzględniająca tego całościowego kontekstu, pozostanie ułomna. Z badawczym zaś opanowaniem „całości” sprawa nie jest prosta. Za swoistą legendą Wyki nie idą systematyczne próby opisu jego dorobku, i od czasu obszernego tomu *Kazimierz Wyka. Charakterystyki. Wspomnienia. Bibliografia* (praca zbiorowa pod red. H. Markiewicza i A. Fiuta, Kraków 1978), niewiele, poza zwięzłymi szkicami Mariana Stali (w książce *Chwile pewności*, Kraków 1991) zrobiono. W takiej całościowej próbie ujęcia fenomenu Wyki książka tu omawiana niewątpliwie powinna należeć do źródeł podstawowych.

#### JAKA EDYCJA?

Mamy przed sobą obszerny zbiór wypowiedzi Wyki o Norwidzie, według redagującej tom Jadwigi Grodzickiej „wszystkich” (357). Niestety, nie wszystkich, nawet

nie „wszystkich osobnych”, co byłoby określeniem trafniejszym<sup>2</sup>. Wyznaczenie zakresu „wszystkości” w odniesieniu do pisarza, który uważał Norwida za jednego ze swych ojców duchowych, bywa złudne, w pewnym bowiem względzie „norwidyczny” szkic *Perspektywy młodości* („Verbum” 1935 z. 3; interesujące jego omówienie znajdziemy w studium S. Treugutta *Ziemia utracona*. W: Kazimierz Wyka s. 56-60) o wiele dla zrozumienia stosunku Wyki do poety jest ważniejszy niż buńczuczna *Pochwała niejasności Norwida*. Naturalnie, omawiany tom nie mógł uwzględnić rozsianych po licznych tekstach Wyki nawiązań do Norwida. Co zrobić było można, to wspomnieć o ich istnieniu, doniosłości dla rekonstrukcji generalnego stosunku Wyki do Norwida, może nawet wskazać główne ich kierunki. Nawiązania te, bardzo częste, zawsze prawie łączą się z przytoczeniami fragmentów tekstów autora *Promethidiona* (w roli argumentu, przykładu, wzoru), przytoczeniami wielokrotnie oświetlonymi syntetycznym, bystrym komentarzem. Pełny ich sens czytelny jest w kontekstach macierzystych, niejednokrotnie jednak rozrastają się w osobne, lapidarne całości, w przenikliwym skrócie charakteryzujące te aspekty osobowości, poglądów i twórczości Norwida, które krytyka absorbowała najbardziej. Co ważniejsze, to właśnie w nich, a nie np. w skrępowanych akademickimi, sytuacyjnymi (nawet politycznymi) rygorami rozprawach i polemikach, wyraźniej chyba ujawnia Wyka swe czytelnicze i krytyczne wobec Norwida preferencje i (znacznie rzadziej) fobie, tu też często osiąga większą, jak się zdaje, skalę interpretacyjnej trafności, mówiąc o tym, co dobrze zna i lubi. Zebrane razem, co edytorsko nie jest oczywiście do pomysłenia, byłyby niewątpliwie pasjonującą lekturą.

Niezależnie jednak od tej warunkowej kompletności tomu jego ukazanie się należy uznać za zjawisko bardzo korzystne; choć bowiem większość tekstów nie należy do najmniej w norwidologii dostępnych, ich zebranie jest znacznym ułatwieniem dla badaczy poety i miłośników Wyki-krytyka. Minęło wszak prawie trzydzieści lat od publikacji „rozpraw i notatek” W. Borowego (*O Norwidzie*, Warszawa 1960) w sumiennym opracowaniu Z. Stefanowskiej. Ów dystans czasowy pokazuje, jak wiele na tym polu pozostało do zrobienia. Ukazały się wprawdzie zbiory rozproszonych stu-

<sup>2</sup> Zgubiono bowiem, wbrew wyraźnej podpowiedzi Wyki (zob. przypis 2 na s. 7), obszerny szkic *Wędrowny sztukmistrz* („Twórczość” 2:1946 z. 10, przedruk w: *Szkice literackie i artystyczne*, Kraków 1956); naturalnym uzupełnieniem recenzji (s. 213-216) jest list Wyki do redakcji „Pionu” (nr 49), kompletujący listę opuszczeń Piniego (sprowokowany listem K. W. Zawodzińskiego w nr 44); pewną „osobność” mają też, jako wyodrębnione rozdziałiki, ujęcia sylwetki Norwida z *Pokoleń literackich i Historii literatury polskiej dla klasy X* (cztery wielkonakładowe wydania w latach 1952-1955, wyd. 3 i 4, zmienione i poprawione). Nota pomija też przedruk *Rehabilitacji bardzo częściowej* (w: *Szkice literackie*, s. 181-197)) i *Prezentacji Norwida* w wyd. 2 *Rzeczy wyobraźni* (PIW 1977, s. 467-477).

diów i szkiców o Norwidzie, m.in. I. Sławińskiej, K. Brauna, S. Sawickiego, M. Inglota, Z. Stefanowskiej, składające się, wraz z pracami J. W. Gomulickiego, paroma książkami „sesyjnymi” i szeregiem monografii (Z. Trojanowiczowej, Z. Łapińskiego, J. Ferta, J. Puzyniny i in.) na kanon współczesnej norwidologii, jeśli jednak idzie o badania dawniejsze, to opracowana przez M. Inglota edycja *Norwid. Z dziejów recepcji twórczości* (recenzowana przeze mnie w „Studia Norwidiana” 9-10:1991-1992 s. 175-207) nie załatwia sprawy. Pilnym postulatem jest zebranie dorobku S. Cywińskiego, T. Makowieckiego, Z. Szmydowej, zapewne też Z. Przesmyckiego (skromnie reprezentowanego w jego *Wyborze pism krytycznych*), prawie niedostępne są też prace K. W. Zawodzińskiego, M. Kridla, W. Arcimowicza, Z. Wasilewskiego, J. Brauna.

Książka grupuje teksty z lat 1933-1974, jej zawartość to już niewątpliwie tradycja badawcza. Wyszła w serii „Z pism Kazimierza Wyki” pod redakcją Henryka Markiewicza i Marty Wyki, serii zakładającej swoisty ascetyzm edytorski. W przypadku niniejszego tomu rezygnacja z edytorskiego i komentatorskiego opracowania okazała się zabiegiem bardzo niefortunnym. Mniej to może jest dokuczliwe w tomach „współczesnych”, tu mamy jednak do czynienia z edycją prac uwikłanych w kontekst dziś już odległych prądów i sporów ideowych i metodologicznych, stąd często nagi tekst nie wystarcza, zawisa w historycznokulturowej próżni. Marzyłaby się tutaj formuła edytorska bliższa serii „Biblioteki Studiów Literackich” lub choćby wspomnianemu tomowi Borowego, udatnie łączącemu pietyzm wobec autorskiej postaci tekstów z zabiegami korygującymi, ujednociającymi i komentatorskimi.

Jeśli nawet jednak zgodzimy się na taki ascetyzm, trudno pisać się na niektóre z założeń, przedstawionych w mało niestety klarownej *Nocie wydawcy* (357). Pietyzm wobec woli autorskiej Wyki wyraża się w decyzji oparcia tekstów na pierwodrukach i tych przedrukach książkowych, które ukazały się za jego życia. „Są tu one – czytamy – stylistycznie ulepszone, a także zostały poprawione błędy w przytaczanych wierszach Norwida”, gdzie indziej zaś „cytaty z utworów Norwida zostały zachowane w tej postaci, w jakiej przytaczał je Wyka”. Ma to pewien walor: wiadomo, jak ciekawa może być interpretacja cytatowych przeinaczeń, czytelnik winien mieć jednak możliwość zlokalizowania źródła i zauważenia odmienności (tutaj często ograniczoną). Ponadto idzie jednak o teksty Norwida, to więc, co jest podawane w cudzysłowie, obciąża jego konto, i w tych wypadkach, jeśli deformację zachowujemy, powinniśmy ją odnotować. Dobrze byłoby przy tym odróżniać modyfikację c h a r a k t e r y s t y c z n ą (istotną, rzeczywistą) od mechanicznej, nie-autorskiej. Wielekroć bowiem w tomie konserwacji uległ kształt nadany nie przez Wykę, ale przez niedbalstwo gazetowego składu, w którym np. wąskość kolumny prowadzi do „naddanego” łamania i rozbijania wersów (nawet metrycznych!). Mamy stąd po parę wersji tych

samych tekstów (s. 38 i 279) bądź nowe wersje znanych utworów (*Czułość* na s. 241). Krytyczniej należało też potraktować niektóre rozwiązania autora, np. w otwierającej tom rozprawie zwyczaj szeregowego cytowania fragmentów, przedzielonych tylko linią kresek. Ponieważ u Norwida linia taka bywała uprawnionym elementem „poetyckiej grafii”, a komentarz wprowadzający cytaty nie zawsze jest klarowny, łatwo wziąć fragmenty różnych utworów pisanych zbliżoną miarą za jeden tekst (73, 146). Jeszcze mniej wspólnego z pietyzmem ma powielanie przypadków zepsucia rytmu Norwidowego wiersza (niektóre z nich wskazał Borowy, jw. s. 298, przypis).

Nawet jednak tak pojęta „wierność” nie jest realizowana, bo i po cichu poprawia się jednak niektóre błędy (co dobrze), i hojnie mnoży się nowe, tak w tekście Wyki, jak i w cytatach, czasem z zupełną zniewagą elementarnego słuchu poetyckiego, co prowadzi do sytuacji, że niektóre strony to edytorskie horrory (przeczytajmy choćby fragmenty *Rzeczy o wolności słowa* i *Assunty* na s. 351). Można by rzecz zmilczeć, ale to przecież w tej samej książce znajdziemy żarliwe wystąpienia Wyki w obronie integralności i swoistej postaci tekstów Norwida (213-216, 349-350), Wyki, staranego wydawcy i radykalnego w sądach norwidysty, który apelował później do młodego poety: „Więcej Norwida, nauczyciela historii i przywiązań stanowczych, ocen bez pardonu”, który, z drugiej strony, przypominał (za Pigioniem), słowa Norwida: „Drobiazgowość w rzeczach sądu wielkie ma imię – M i ł o ś ć”. Przecież Wyka w reedycjach jednak p o p r a w i a ł własne błędy, czy to nie dostateczny wyraz intencji? Wreszcie racja sentymentalna: pora chyba najwyższa, aby tak dramatycznie pokiereszowane przez historię teksty Norwida drukowane były w poprawnej postaci. Cytaty z Norwida to przede wszystkim własność Norwida, potem Wyki. Dając ich postać niewydarzoną, wspieramy wprawdzie tezę Wyki o szczególnej „niejasności” poety, wątpić jednak można, czy krytyk takiego wsparcia by sobie życzył. Uznanie za elementarny obowiązek jeśli już nie lokalizacji, to przynajmniej starannej rewizji przytoczeń byłoby najlepszą formą wierności obu, pozwoliłoby też poprawić błędy innej natury, np. w zapisie tytułów (*Szczęsna* i *Szczesna*), atrybucji cytatów (na s. 97 tylko jeden z fragmentów pochodzi ze *Sławy*). Prościej byłoby więc chyba ujednoczyć źródło przytoczeń, najlepiej według *Pism wszystkich*, a charakterystyczne modyfikacje odnotowywać.

Wbrew zapowiedziom redakcji nie do końca też „ujednolicono zapis notatek bibliograficznych” (357). Najwięcej zamieszania jest z Miriamową edycją *Wszystkich pism Cypriana Norwida po dziś w całości lub fragmentach odszukanych*. Już w pierwszym przypisie książki (s. 7, z błędną numeracją nie istniejącego tomu) pojawia się ona jako *Pisma do dziś odszukane*; tym okładkowym, poręczniejszym tytułem posłużył się Wyka jeszcze parokroć, częściej jednak używając właściwego. Indeks łączy

co prawda oba tytuły, ale zakres edycji ogranicza do listów. Trudno tę formę ujednolicenia uznać za wystarczającą.

Na kłopot większy wskazuje przypis 3 (s. 8), rozwijający dobrze świadczące o ostrożności badacza zastrzeżenie co do niepewnej autentyczności listów Chopina. Spór w tej kwestii trwał i po ukazaniu się pracy Wyki, prowadząc do niewątpliwego, jak się zdaje, stwierdzenia fałszerstwa. Nieświadom tego czytelnik niniejszego tomu ma powody z dobrą wiarą sądzić, że Chopin coś tam o Norwidzie pisał. Tu zasada redakcyjnej nieingerencji wieść może do dezinformacji.

Decyzją niezbyt szczęśliwą wydaje się też pominięcie w edycji „tekstów samego C. Norwida” (raptem 5 stron druku): pięknego *Nekrologu Chopina* i nie tak łatwo przecież dostępnej *Emancypacji kobiet* (dałoby to czytelnikowi bezpośrednią możliwość oceny trafności komentarza). Inny rodzaj ułomności rodzi się przy tekstach polemik. Zwłaszcza *Norwid nieobecny* jest prawie nieczytelny bez okalających go wystąpień Ważyka. Sprawę ratuje nieco sumujący dyskusję *Stosunek do Norwida*, szukajże jednak reszty, dla pełności obrazu, w numerach „Odrodzenia” z 1945 r., szukajże, mając błędną wskazówkę (1947 zamiast 1945 na s. 253) i żadnej informacji, że szukać też można w bojowej książce Ważyka (*W stronę humanizmu*, 1949) i w edycji *Norwid. Z dziejów...*, jakkolwiek i tam nie znajdziemy danych o brutalnej replike Ważyka<sup>3</sup>. Trudno ignorować wydawnicze ograniczenia rozmiaru książki, wystarczy jednak wziąć do ręki np. opracowany przez A. Biernackiego *Wybór pism krytycznych* L. Frydego, aby skonstatować, ile on zyskuje na przedruku obszernych polemik Wyki.

Sumując powyższe uwagi: książka nie jest dobrym przykładem sztuki edytorskiej.

#### BADACZ, KRYTYK, NORWIDYSTA

„Norwidystą” był Wyka od czasu pisarskich początków do lat ostatnich swej twórczej aktywności. W roli badacza stanął w latach wojennych, kiedy zajął się Norwidowym „sztukmistrzostwem”, acz pewnym przygotowaniem do niej były i próbki komentarza edytorskiego, i praca nad *Pokoleniami literackimi*, z przypadkiem Norwida jako jednym z centralnych problemów historycznoliterackich. Dość szybko tę postawę jednak porzucił, choć w pierwszych latach powojennych był bodaj przeświadczony, że Norwid jest i pozostanie głównym obiektem jego naukowych

---

<sup>3</sup> „Artykuł Wyki jest jeszcze jedną próbą wygrywania Norwida przeciwko wielkim romantikom [...]. Nie będzie zgody na Norwida nr 3. To już nie cień poety, to tylko jeszcze jeden ponury cień Brzozowskiego” (*Norwid urojony*, „Odrodzenie” 1945 nr 25 s. 4-5).

dociekań. Jeszcze w marcu 1947 r., uzasadniając odmowę publikacji artykułu M. Kridla *O przyszłość kultury polskiej*, pisał doń: „Jeżeli zaś chodzi o fakty i pisarzy, których szczególnie Pan powołuje jako świadków zerwania [w obecnej Polsce – M. B.] z przeszłością kulturalną, to znaczy Conrada i Norwida [...] dyskusja [...] nie przekracza ram normalnej dyskusji literackiej, a równocześnie każdemu, bez względu na jego stanowisko społeczne przysługuje całkowita swoboda sądu. Będąc redaktorem pisma wydawanego przez spółdzielnię wydawniczą, która uchodzi za bardzo radykalną i postępową, mogę spokojnie zajmować się Norwidem, drukować bardzo pochlebną książkę o jego artyzmie [...]” (cyt. za W. P. Szymańskim. W: *Kazimierz Wyka* s. 208).

Jednak po wydaniu pracy (która już w 1946 r. stała się podstawą habilitacji) Norwid znika jakby z warsztatu badawczego Wyki, otrzymuje arcyskromne miejsce w szkolnym podręczniku, wszelkie następne teksty o poecie mają już wyraźnie okolicznościowy charakter. Wyjątkiem, harmonijnie łączącym postawy badacza i popularyzatora, jest uroczy, bodaj najżywszy obecnie, obszerny szkic *Norwid w Krakowie* (1967). Przechodząc do bieżącej krytyki literackiej, prac redakcyjnych i organizacyjnych, później badań nad *Panem Tadeuszem*, obecność Norwida w swoich przemyśleniach i światopoglądzie ujawnia Wyka w licznych przywołaniach fraz i poglądów poety, w wykładach uniwersyteckich, w zapowiedziach napisania popularnej monografii poety.

Co sprawiło, że Wyka-badacz porzucił Norwida, pozostając aktywnym członkiem „klanu”, nadal intensywnie, a bodaj coraz głębiej i wszechstronniej przeżywającym jego twórczość? Najłatwiej o wyjaśnienia sytuacyjne; zapewne ponury cień stalinizmu znacznie ograniczył deklarowaną wcześniej swobodę zajmowania się Norwidem. Wyka, jak sam gdzieś się wyraził, „zrobił karierę”, stał się kimś znanym i znaczącym. Rodziło to jednak liczne obowiązki uniwersyteckie, organizacyjne, społeczne, nawet polityczne (rola posła). Były też pewnie powody inne, może metodologiczne. Zajęcie się artyzmem Norwida było światopoglądowo raczej neutralne, to jednak, o czym Wyka chciałby pisać przede wszystkim, to osobowość i poglądy Norwida, jego wizja historii i człowieka. Niezbyt wdzięczne to tematy dla metodologii marksistowskiej, niebyt poręczne dla strukturalistycznej, która bywała ucieczką przed tą pierwszą. Tylko na prawach hipotezy, wymagającej dokładniejszych sprawdzeń (o ile te są w ogóle możliwe), zaryzykować można przypuszczenie, że Wyka, który tak swobodnie poruszał się wśród idei (zwłaszcza niektórych, poza np. sferą religijności) Norwida, nie był tak swobodny w obcowaniu z jego tekstami. Stąd obok porywających trafnością i śmiałością rzutów interpretacyjnych tak mało w omawianej książce w miarę całościowych analiz poszczególnych utworów, w szczególności poetyckich.

Pełniejsza charakterystyka stosunku Wyki do Norwida nie wydaje się rzeczą łatwą, nie stała się też dotąd osobnym przedmiotem rozważań, stąd nadal ocenami najbardziej wyważonymi i aktualnymi pozostają recenzje sprzed czterdziestu lat, W. Borowego (jw. s. 285-298) i Z. Stefanowskiej (*Książka o „poecie i sztukmistrzu”*. „Dziś i Jutro” 1948 nr 27 s. 5). Recenzenci oddali sprawiedliwość zaletom Wyki-norwidologa, wskazali też jednak miejsca wątpliwe, tak w sferze metody i postawy, jak niektórych wniosków. Że także w dziedzinie norwidologii osiągnął Wyka rezultaty wybitne, nie ma potrzeby nikogo przekonywać, opinię tę potwierdza uważna lektura całości. Niech więc zostanie mi wybaczone, że tutaj dotknę tylko niektórych aspektów stosunku Wyki do Norwida, i kilku kwestii, z którymi łamał się Wyka i z którymi od czasów Miriama łamie się norwidologia.

1. Znajdziemy u Wyki wiele interpretacji przenikliwych i ujęć uderzających celnością, nawet jeśli jest to celność metaforycznego błysku. Trafność ową częściej jednak zgadujemy, niż mamy możliwość poznać jej korzenie i uzasadnienia. To samo dotyczy nieczęstych, ale zdarzających się, interpretacji wątpliwych. Z drugiej strony u żadnego bodaj z dawniejszych norwidologów nie znajdziemy tylu stylistycznych i leksykalnych wyznaczników poczucia słuszności, niewątpliwości głoszonych opinii, sygnałów naukowości, z pojęciem „dowodu” na czele. Tymi dowodami są u Wyki najczęściej przytoczenia (zazwyczaj, jak to u Norwida, złożone i niejednoznaczne), czasem fakty i syntetyczne konstatacje. Pewny swych racji był Miriam, zestawienie z nim może być jednak mylące: to inna postawa i metoda krytyczna, w jego pokoleniu, a tym bardziej w jego pozycji prawodawcy, o wiele bardziej naturalna. Miriam stwierdzał: jest tak i tak; Wyka częściej mówi: oto dowody, oczywiste jest, że..., itp. Bardziej stosowne być tu może zestawienie z Borowym, którego zbiór *O Norwidzie* ma rozmiar podobny (prawie ta sama liczba, luźniej jednak drukowanych, stronic). Sygnałów naukowości prawie żadnych, ilość zaś zastrzeżeń, wskazań na ograniczenia – znaczna. Nie rzadziej niż Wyka korzysta Borowy ze skrótu myślowego, porównania, metafory krytycznej. A jednak o wiele częściej czytelnik zyskuje przeświadczenie, że dana opinia jest solidnie uzasadniona. Źródło tej odmienności wrażeń tkwi w metodzie: u Borowego analitycznej i ostrożnej, u Wyki śmiałej i zasadniczo syntetycznej; nawet w akademickiej rozprawie o „poecie i sztukmistrzu”, pomyślanej jako analityczna (aż do ciągów wyliczeń i zestawień tabelarycznych), ten pęd ku syntezie co i raz się ujawnia. Ma to miejsce w słynnych Wykowskich typologiach i rozróżnieniach („w dwojaki sposób”, „podwójną rolę”, „wieloraki wygląd”, trzy aspekty „instrumentu”, „potrójna struktura znaczeniowa”, „skojarzenia... dwojaki”, „trzy kategorie wniosków”; odpowiednio s. 10, 11, 12, 71-72, 74, 121), w wykra-



czających poza przedmiot uogólnieniach, dotyczących poszczególnych utworów czy nawet właściwości twórczości i myślenia poety.<sup>4</sup>

Interpretacyjny i argumentacyjny rozmach badacza często przerasta potrzeby przedmiotu, prowadząc niekiedy, jak bystro zauważył Borowy, do tworzenia, w celach polemicznych, problemów pozornych. Najwyrazistszym przykładem jest tu obszerna rozprawa Wyki z „legendą” (jako błędem, urojeniem; ustaliwszy ten sens słowa nie omieszkuję badacz zaznaczyć, że to „błędna legenda”) o Norwidzie jako „poecie ruin” (s. 106-113).

Rzecz wiąże się z ogólniejszą kwestią zawodowej lojalności badacza wobec poprzedników i środowiskowej – wobec „klanu norwidystów”<sup>5</sup>.

W przypadku tu rozważanym wszystko jest niby w porządku: „ponieważ nie chodzi o wytykanie błędów poszczególnych badaczy, lecz o sprawę ogólniejszą [...], wspomnę tylko, że [...] Miriam nic tutaj nie zawinił; najwięcej bodaj zawinił Stanisław Brzozowski”. Zawinił, bo swym impresyjnym szkicem (tu nazywanym „rozprawą”) ze słynnym zdaniem „Utworki Norwida są jak mowa ruin” dał początek „uporczywej”, „pokutującej” legendzie „na temat wyobraźni Norwida”. Widzimy, jak łatwo temat czy kształt dzieł Norwida staje się elementem jego „wyobraźni”, metaforyczna formuła (poeta ruin) błędem, a błąd – winą. Wstrzymanie się przed wymienieniem innych „winnych” jest może aktem miłosierdzia, ale też niejaką ucieczką, nie tak bowiem łatwo ich wskazać; jeśli nawet ta linia interpretacyjna we wcześniejszej norwidologii występuje, to bardzo nikle. Gdy dodać, co precyzyjnie pokazał Borowy (jw. s. 292-293), że pojęcie „poezji ruin” też jest tutaj spreparowane, i przy pełniejszym jego rozumieniu „winowajcy” mogą mieć rację, nietrudno o wniosek, że „potwór jest w patrzącego oku”.

Dotykamy tu kilku łączących się kwestii. Sporo u Wyki sądów stanowczych, nieraz apodyktycznych, otoczonych naukowym sztafażem (zazwyczaj zasadnym, ale nieraz nad wagę problemu), sugestywnych, ale nie zawsze wobec tradycji „norwidycznej” i samego poety lojalnych. Stąd sytuacje, w których Borowy (jw. s. 298, przypis 7) musi Wyce przypomnieć, że o roli „salonu” u Norwida „pisał nie «jedyne

<sup>4</sup> Pouczające może być spojrzenie na indeksy utworów Norwida; u Borowego ich przywołań jest co najmniej dwakroć więcej. Prawda, że Borowy starał się objąć całego Norwida, zwłaszcza w roli „Prezesa Prokuraturii w państwie norwidologii” (zob. „Ruch Literacki” 24:1983 z. 2), gdy wybory Wyki były wyraźnie ukierunkowane, część zaś jego przywołań, nawet całych utworów! (*Czulość* na s. 241), została przez indeks zgubiona; tym niemniej ilość konkretnych (i prawie bez wyjątku trafnych) mikroanaliz czy rzutów interpretacyjnych jest u Borowego zdecydowanie wyższa.

<sup>5</sup> Pojęcie to ma u Wyki różne zakresy; w najbardziej podstawowym idzie o „klan” w obrębie „plemienia historyków literatury”, zazwyczaj jednak mowa o miłośnikach poety pośród badaczy, krytyków, poetów, artystów.

Z. Wasilewski», bo pisał też (wcześniej i głębiej) Kołaczkowski”, dodajmy, naukowy przewodnik Wyki.

Był Wyka norwidystą zdeklarowanym i wybitnym, trafnie i bez uprzedzeń hierarchizującym dokonania cudze. W dwu okresach jednak, z różnych powodów, bywał wobec „klanu” niezbyt sprawiedliwy. Swą całowyciową, jak się okazało, przygodę z Norwidem rozpoczął głęboką i wyznawczą rekonstrukcją Norwidowej koncepcji kultury, którą Borowy uznał za przykład „szlachetnej popularyzacji”. W *Starości Norwida* podziela pietyzm „odkrywców”<sup>6</sup>, a jednak w równoczesnej *Pochwale niejasności Norwida* manifestuje, mnożąc paradoksy, niezależność i oryginalność własnej opinii. Jednym z jej elementów jest przekorne odcięcie się od „wyznawców” Norwida, wmawiających „biednemu czytelnikowi” jasność dzieł poety. Ci „propagandyści” to „szef” Miriam i „inni, o krótszym oddechu, jak Jellenta, Zrębowicz czy Cywiński”. Spójrzmy na ich charakterystykę: „Entuzjaści Norwida, jak każda pokrzywdzona mniejszość, wyczuwają doskonale, że nie udało im się przekazać pobłażliwym czytelnikom własnego spojrzenia na Norwida. Przeszli już młodzieńczy wiek, kiedy mogli rzucić dumne: wy jesteście winni, wy tłum, wy niedorośli! [...] Zaczynają przeto inną drogą: nieodżałowana szkoda, że Norwid nie będzie nigdy poetą popularnym [...], że nie stanie się własnością ogółu, że nie będzie ludzi przerabiał w aniołów itd. Raz jeszcze, co za szkoda, że on, ten świetlany, kryształowo jasny dla czytelnika, który zechce za nim iść szczerze, który nie złęknie się zanurzenia aż po dno tej poezji, że ten Norwid pozostanie własnością garstki” (194). I dalej: „Wszak najgorętsi norwidomani wiedzą dzisiaj, że nie narzuci się Norwida ogólnemu zachwytowi, ani tym więcej nie stworzy się szerokiego klanu czytelników, dla których byłby on chlebem codziennym”. Zniechęceni, „wtrącają w otchłań pogardy” niepokornych, edytorsko „ułatwiają” Norwida, zaś Miriam, „niestrudzony apostoł”, „chodzi z nim w rękę, jak z maczugą, gromiąc wszystko, co Norwidem nie jest” (195-196). Jesteśmy prawie przekonani. Brawurowe, rewizjonistyczne obnażenie kompleksów norwidomanów, poparte efektownymi tezami (elitarny, trudny Norwid to dowód na „bogactwo, wręcz rozrzutność kultury naszej, skoro może się ona zdobyć na kosztowny talent”) i proroctwami („jest i będzie tylko poetą wąskiej elity [...] nie wyjdzie prawdopodobnie poza garstkę jednych, którzy go wyznają, drugich, którzy rozumieją, niekoniecznie wyznając”). W zderzeniu z rzeczywistością wywód ten jednak ma wartość nie większą niż pogląd, iż „zmuszeni jesteśmy likwidować trójkąt wieszczów”, bo nam za często deklamowano Krasińskiego, i ciekawa skąd-

---

<sup>6</sup> „Na tle tej starości rozumiemy najpełniej pieczołowity zachwyt, gdy ze skromnych, ślepią ręką podartych i poniszczonych kart śmiesznych zeszycików wyłaniały się pod niestrudzonym wzrokiem i palcami najszlachetniejsze klejnoty polskiego artyzmu” (182).

inąd, żartobliwa propozycja założenia Towarzystwa Ochrony Wierszy i Cytat z Norwida<sup>7</sup>. Miriam zawsze był „ponad” popularyzacją, Cywiński wcale nie jest zrezygnowany, a to, o co walczył, to, aby Norwid był (uważnie i bez uprzedzeń) czytany, także na kilku choćby (jako lektura w programie „nadobowiązkowa”) lekcjach w szkole, obok „*Ogniem i mieczem* w 27 lekcjach”.

Jest połowa roku 1933, narasta, w związku z pięćdziesięcioleciem śmierci Norwida i głośnymi sporami wydawniczymi, fala zainteresowania poetą, nakładająca się na nie mniej głośne kampanie „antybrązownicze”, zwłaszcza Boya. Młody Wyki jest rozdarty: i on jest „pod znakiem Norwida”, jak tu się jednak do wyznawstwa przyznać, skoro z młodzieńczym wigorem „ślepy kult”, „bałwochwalstwo”, „bezkrytyczne wyznawstwo” Norwida tępią (nawet na łamach redagowanej przez niewątpliwego „wyznawcę”, W. Horzycę „*Drogi*”, nie mówiąc o „*Wiadomościach Literackich*” czy „*Myśli Narodowej*”) S. Kołaczkowski, M. Kridl, K. W. Zawodziński, S. Pigoń, Z. Wasilewski, nawet T. Sinko, wkrótce także J. Krzyżanowski, sędziwi I. Chrzanowski, A. Brückner, A. Drogoszowski i inni? Centrum tego nurtu jest w Krakowie, apogeum – w przyznaniu przez PAU Nagrody im. Probusa Barczewskiego „za dzieło historyczne” ciekawej, ale rojącej się od faktograficznych i krytycznych fantazji, książki Wasilewskiego (*Norwid*, 1934). Publicystyczne wystąpienie Wyki nie jest w tym kontekście ekscysem, raczej przejawem „antybrązowniczej” mody; chwałę natomiast przynosi mu, że bezpośrednio polemiczne, aktualizujące akcenty nie pojawiają się w jego innych pracach norwidowskich, jakkolwiek obie tendencje, „wyznawcza” i „rewizjonistyczna”, są w nich obecne. Pierwsza każe mu bronić wartości późnego dorobku Norwida (dość powszechnie lekceważonego, acz Miriam, Cywiński czy Borowy nie mieli tu wątpliwości), przygotować wzorowe wydania jego nieznanych tekstów, z entuzjazmem powitać teatralne, niewątpliwie „wyznawcze” eksperymenty J. Osterwy i edytorskie odkrycia S. Pigionia. Druga przejawia się w nazbyt chętniej aprobacie „walorów” książki Wasilewskiego (217-223), wreszcie, o czym będzie jeszcze mowa, w akcentowaniu krytycyzmu własnego spojrzenia na niektóre aspekty sztuki i myśli Norwida.

Pewnym momentem próby stało się wydanie przez Piniego *Dzieł* Norwida. Bystre i trafne wystąpienie Wyki nie tyle jest recenzją, ile protestem wyznawcy (tak stylistycznie wyrazistym, że pozwoliło to A. Nowaczyńskiemu – *Norwid w katakumbach*. „ABC” 1936 nr 114 – stworzyć groteskowy obraz, w którym Piniego prze-

<sup>7</sup> Karającego nadużycia wysokimi grzywnami, a nawet więzieniem. Nawiasem mówiąc: gdyby tą miarą potraktować późniejszą, cytatową działalność Wyki, nigdy nie wyszedłby on z długów. Inicjator nie zaniedbałby jednak zapewne zaznaczyć w statucie Towarzystwa, że „prawdziwym miłośnikom” – cytować wolno.

ślądują „nowi derwiszowie z sekty: Ignacy Fika i Kazimierz Wyka”). Zjadliwej ironii towarzyszy tu stanowczość i gorącość tonu. Posłuchajmy: „Czy wydawca nie zna pracy T. Makowieckiego o stosunku Norwida do powstania styczniowego, czy wydawca nie zna listów Norwida?! Czy wydawca nie przedrukował wierszy [...]?! Jakim prawem dzisiaj, gdy nie wolno się zasłaniać nieświadomością, wygłasza sądy f a ł s z y w e?” (216).

Po z górą trzydziestu latach Wyka wspomina ową „kampanię prasową, przeprowadzoną przez klan norwidystów w jego owoczesnym składzie” (342). Mamy tu potwierdzenie wspólnoty. Najaktywniejszymi jej członkami byli, poza Fikiem i Wyką, Marian Piechal, Zbigniew Zaniewicki, Ludwik Hieronim Morstin, Stanisław Cywiński, Jerzy Braun. A jednak w 1945 r. mottem swego artykułu czyni Wyka zdanie: „Na norwidystów idziemy wspólnie” (233). Wspólnie z kim? Z nowo upieczonym norwidystą Adamem Ważykiem. Jak to zrozumieć?

Przeciwstawiający się likwidatorskim zapędom wszechmocnego wówczas Ważyka szkic *Norwid nieobecny* jest aktem odwagi, ale też swoistej zdrady. Broniąc Norwida i prawa młodych poetów do dziedzictwa Norwida, własnego prawa do pisania o nim, wybrał Wyka „mniejsze zło”, uderzył w „norwidystów, którzy zamiast wiernie czytać teksty, wątpliwym wieńcem bzdur stroili poecie głowę w ostatnich latach kilkunastu” (233). Kto z piszących „bzdury” wchodzi tu w rachubę? Przy bardzo ogólnym adresie („w pewnych kołach przedwojennych”; „stosy studiów, które miast interpretacji myślowej i socjalnej poglądów Norwida uprawiały ich a d o r a c j ę i d e o - l o g i c z n ą – bez dowodów”, 234) – ocena Wyki dotyka wszystkich, tak ofiary wojny (Cywiński, Przesmycki, Arcimowicz, Fik), jak i pozostałych przy życiu (Zrębowicz, Borowy, Falkowski, Makowiecki, Piechal, Horzyca, Osterwa, Braun i inni). Zapewne nie wszystkich miał Wyka na myśli, ale tak to wyszło. Nawet jeśli to ryczałtowe potępienie motywowane było pewnym taktyczno-ideologicznym przymusem, trudno je uznać za rzetelne, zwłaszcza że przy okazji dostało się i broniowemu Norwidowi („Niewątpliwie w sposobie bycia codziennego, w swoim rekompensacyjnym snobizmie zdeklasowanego szlachcica [...] stanowi nasz poeta nieraz rozbijający, a nieraz tragiczny obraz człowieka, który jeśli się nie wiesza, to przynajmniej chętnie ociera o pańską klamkę”, 235-236).

Podkreślić należy, że przywołano tu wypowiedzi skrajne, z czasem ten wątek wypierany jest przez elementy uznania i poczucie wspólnoty z norwidologiczną tradycją (prześledźmy choćby w książce ewolucję poglądu Wyki na postać i rolę Miriama).

2. Sprawa „trudności”, niejasności. Zasadniczo podziela Wyka pogląd (ma nawet znaczny udział w jego utrwaleniu), że jest Norwid poetą hermetycznym. War-

tościowanie tego zjawiska jest jednak dwojakie. Pozytywne, wskazujące na komplikację, złożoność jako na bogactwo, znamię oryginalności, głębi, tym cenniejsze, że w literaturze polskiej rzadkie. W tym planie *Pochwała niejasności Norwida* jest szczerą, a to, że jest Norwid „najbardziej złożonym” polskim artystą, pisarzem, „najgłębszym pisarzem katolickim” – może być powodem narodowej dumy.

Jest jednak i drugie źródło przeświadczeń Wyki o ciemności Norwida. Nie jest to ta linia uzasadnień, która najjaskrawszy wyraz znalazła w głośnym artykule Irzykowskiego *Niezrozumialstwo* („Wiadomości Literackie” 1924 nr 38) i w tegoż podsumowaniu rozgorzałej polemiki (tamże nr 50), że mianowicie Norwid świadomie, prowokując i lekceważąc czytelnika, zaciemnia swoje teksty. Bliższy jest Wyka pogładowi Józefa Ujejskiego (tamże nr 46), podzielanemu też z pewnymi modyfikacjami przez E. Kucharskiego, M. Kridla, K. W. Zawodzińskiego, że idzie tu o „wrodzoną wadę talentu”, w wersji Z. Wasilewskiego wadę motywowaną nawet degeneracją rodu Norwida. Wyka szuka tu racji bardziej subtelnych, rozwijając sugestie w części pojawiające się już za życia poety, że wielostronność artystycznych i filozoficznych zainteresowań poety, jego intelektualizm i przesadna, wyrosła z samouctwa wiara we własne „naukowe” posłannictwo prowadziły do swoistego nadmiaru „treści”, mąciły czystość sztuki.

Stąd niewiele – zdaniem badacza – w poezji Norwida dzieł harmonijnych i dojrzałych. W większości dominują „sformułowania w duchu idealistycznej filozofii, z natury rzeczy niejasne i mało precyzyjne”, „zawiłe wywody” (zwracające się „przede wszystkim do myśli i intelektu” czytelnika), artystyczne i językowe eksperymentatorstwo, co nadaje „poezji Norwida oryginalność, ale jednocześnie prowadzi do ujęć artystycznych o charakterze arystokratycznym i elitarnym”. Przywołuję sformułowania ze wspomnianej już syntezy szkolnej (wyd. 3, 1954 s. 385-387), tu bowiem Wyka zajął się zjawiskami czyniącymi dzieła poety „mało przystępnymi i niezrozumiałymi” najszerzej i z charakterystycznym dla ideologicznych uwarunkowań tamtych czasów wyostrzeniem. Podstawowy jednak sens wywodu oddaje pogląd Wyki, który można odnaleźć w rozproszonej postaci w różnych miejscach recenzowanej tu książki i poza nią (już w pisanych znacznie wcześniej *Pokoleniach literackich* możemy przeczytać, że Norwid „popadał w niezrozumialstwo”, niezrozumialstwo bez cudzysłowu (Kraków 1977 s. 283).

Zarysowana tu w najgrubszych liniach postawa Wyki wpłynęła decydująco na jego stosunek do poszczególnych utworów i ich grup. Szczególnym nieupodobaniem darzył krytyk przeciążone, jego zdaniem, ideowo-filozoficznymi i dydaktycznymi postawami i treściami poematy i rozprawy poety. W tej grupie opinia o nieudaności najmniej dotyka uznanego już *Promethidiona*, najwięcej – utworów z kręgu *Niewoli*

i *Zwolona*, a zwłaszcza, co ciekawe, wykładów o Słowackim i *Rzecz o wolności słowa*.

Mamy dowody, że już przed wojną Wyka uważnie czytał *O Juliuszu Słowackim*, a jednak w 1946 r. napisał: „Nie będę nikogo namawiał do lektury wykładów [...] czy pseudonaukowych roztrząsań na temat *Bogarodzicy*. Ale jeśli kto chce do Norwida uzyskać pewien ludzki dostęp, niech czyta *Czarne kwiaty* czy *Menego*” (244). To znamienne słowa. „Ludzki” dotyczy i sposobu (omijający nie-ludzka „ciemność”), i celu, bo to przede wszystkim Norwida-człowieka, „świetnego obserwatora ludzi i miast”, warto poznać. W tych i wielu innych zdaniach dostrzec chyba można jakby nutę żalu, że Norwid tak rzadko pisywał jak człowiek, a tak często jak Norwid. Ileż miłosnej przesady jest w wyznaniu Wyki: „Bez chwili żalu oddałbym niejedną z wielkich poematów Norwida, które do nas dotarły – z *Rzecz o wolności słowa* na czele – za znane nam tylko w szczątkach, zatracone karty Norwida-pamiętnikarza, ironisty i gawędziarza” (245).

Swe rozmiłowanie się w prozie Norwida i w kulturowo-personalistycznych wątkach jego myślenia i postawy Wyka stale rozwija, z czasem jednak staje się wyraźnie mniej stanowczy i w sądach o nisko cenionych utworach, i w ogólnym poglądzie o skali „niezrozumiałości” Norwida, o możliwościach popularyzacji jego dorobku. Rozdrażnienie zawilocią wywodów o Słowackim i krytyka alegorycznej interpretacji *Balladyny* (*Pokolenia* s. 281-282) zamienia się w konstatację, że są tam jednak „stronice najwyższej wagi”, „wspaniałe stronice poświęcone Byronowi”, „prawdy w ogóle dla szacownego Małeckiego nieosiągalne”, „trafny i znakomicie sformułowany sąd o językowym mistrzostwie Słowackiego”; interpretacja *Balladyny* okazuje się „oryginalna”, przynosząca m.in. „niezwykle poetycką, pełną czaru metaforę krytyczną” (270-272). Stały w przeświadczeniu, że *Rzecz o wolności słowa* to „wyjątkowo nieudany poemat” (103), „tasiemcowaty i o niedobrym potomstwie literackim” (350), będący „popisem erudycyjnym” (241), że *Assunta* jest skażona przez „naukowość”, coraz więcej znajduje w nich jednak „pięknych urywków”, „wspaniałych obrazów”, arcytrafnych ujęć zjawisk historycznych i cywilizacyjnych, np. „losu narodowego Polaków w XIX wieku” (340) czy ujawniających swój głęboki sens w „roku podróży człowieka na Księżyc” oktaw, „olśniewających i pełnych genialnego wizjonerstwa” (351).

Podobnie z elitarnością i trudnością. Po latach sceptycyzmu Wyka, recenzując w 1969 r. obszerne *Pisma wybrane* Norwida, nie tylko uważa, że wysokonakładowe (30 000 egz.) wydanie „powinno być wznowione” (348), ale wręcz ma pretensję do J. W. Gomulickiego, że „stara się unikać zbyt trudnych, jego zdaniem, liryków Norwida”, podczas gdy „z tą hermetycznością jest jak z poprzeczką dla skoczka wzwyż: nie rozgrzany i na początku nie weźmie on danej wysokości: później, w

miarę lektury – weźmie bez trudu” (349). Wróciliśmy, po trzydziestu paru latach, do tego, co głosił Cywiński, co za oczywiste uważał Miriam czy Borowy, a co czasem irytowało młodego Wykę.

3. Nie mniej często, choć bardziej przygodnie, wraca w pismach Wyki drażniąca go sprawa „naukowych” ambicji Norwida. Tu wartościowanie jest jednoznacznie negatywne, w tej bowiem przywarze widzi badacz i miłośnik poety główne źródło zawłóci i artystycznej nieudolności jego dzieł. Posłuchajmy komentarza edytorskiego (do Norwidowej *Emancypacji kobiet*) 24-letniego naukowca, który w 14 lat później zostanie profesorem.

„«Naukowość» wywodu, że kobieta *m u s i* – wbrew zupełnej oczywistości – mieć silniejszą budowę, ponieważ ciało jej za dwa żywoty nieraz ręczy, zupełnie zgadza się z «naukowością» niektórych pomysłów z *Boga-Rodzicy*, z «odkryciem» obwieszczanym w *Assuncie*, najbardziej zaś z króciutką rozprawką o *Sfinksie* [...], gdzie podobnie sfinks, będący «znamieniem *i n i c j a c j i*», mieć *m u s i* odpowiednie napisy, które Norwid z polska odczytuje...” (208).

Dziwnym trafem 24 lata miał też Piotr Chmielowski, kiedy 60 lat wcześniej bezlitośnie wykpił Norwidowe odczytanie napisu na figurce sfinksa, nie omieszkając dodać, że filologiczny fantasta to „znany z ciemnych wierszy poeta, autor niezrozumiałych studiów nad Słowackim”. Tej „naukowej” opinii o Norwidzie jeden z fundatorów polskiej nauki o literaturze do końca życia, także po rewelacjach Miriama, nie zmienił.

Do wywodu Chmielowskiego (przedrukowanego w 1939 przez J. W. Gomulickiego) nawiązał Wyka w rozprawie habilitacyjnej, nazywając starcie „zabawnym” (50, przypis 9; niewątpliwie Norwid, gdyby mógł był polemikę przeczytać – a tym bardziej odpowiedzieć na nią – ubawiłby się setnie). Powodem (pretekstem?) obszernej dygresji Wyki (s. 49-50) jest to, że „w jednym ze swoich wystąpień dążność «naukowa» Norwida” wiąże się „z tematem rzeźby”. Idzie o „«odkrycie naukowe» zamieszczone w *Assuncie*”. Końcowy wniosek, że „Gorliwość samouka zabiła tutaj artyzm”, poprzedzony został charakterystyką tej sfery aktywności Norwida. „Posiadał dziwaczną i upartą pretensję do naukowości, etymologizowania, archeologizowania, odkrywał, objaśniał”. Aczkolwiek w kontekście epoki „przestaje ta dążność wydawać się czymś zupełnie samotnym i dziwacznym”, to jednak grzech Norwida polega na tym, że jako samouk swe „obserwacje naukowe traktował *s t r a s z l i w i e s e r i o*, ze szkodą dla ich *j e d y n e j w a r t o ś c i* pierwiastka inwencji ocierającej się o fantastyczność”, że nie potrafił („jak Villiers de l’Isle Adam, Poe, nawet Mérimée”), swych „zainteresowań naukowych” „podporządkować ścisłej dyscyplinie artyzmu, przetwarzając je w igraszkę i fantazję” (podkr.

moje – M. B.). Jeśli taka „piękna wizyjność” się pojawia, „rozgrzesza” nawet „zabawną etymologię myszy od musu”<sup>8</sup>.

Podobnych, acz mniej rozbudowanych, utyskiwań Wyki jest więcej. Przytoczmy jedno, trochę inaczej rozkładające akcenty: „rozliczne błędy artystyczne Norwida wynikały stąd, że tego materiału, szczególnie myślowego, miał on bardzo wiele; udostępnianie w formie wiersza nie udawało się, ponieważ brakło koniecznych przedłużeń uczuciowych. Powstawała proza rymowana, jak *Rzecz o wolności słowa*, która przetopiona w formie *Ostatniej z bajek*, mogłaby być arcydziełem swobodnego, fantazyjnego władania słowem niewiązanym” (186).

Spójrzmy na rzecz spokojnie. Jak się zdaje, Norwid i młody Wyka naukowość pojmowali zasadniczo odmiennie. Norwid odnosił swoje „odkrycia” do pojęcia prawdy, trafnego (jeśli nawet intuicyjnego) ujęcia istoty rzeczy, trafnego nie tyle w planie semantyki wypowiedzi, ile ogólnokulturowych znaczeń. Wyka (przynajmniej do pewnego momentu) inaczej: w relacji do metody poznania i techniki opisu dokonanych ustaleń. Norwid nie podkreślał „naukowości” swoich odkryć, raczej przeciwnie; stwierdzał, że coś istotnego odkrył... i bywał z tego dumny. Gdyby uwzględnić konteksty historyczne, może nie byłoby tak bezzasadne zapytanie, co naukowo, w szerokim znaczeniu tego słowa, donioślejsze: czy niektóre odkrycia Norwida, czy też nie tak znów nieliczne stronice z ewidentnie zamierzonych jako naukowe prac historycznoliterackich, również prac Wyki. (Przypomnijmy, że Norwid o stopnie naukowe się nie starał).

Nie takie to bowiem proste. Nie znalazłem śladów, że Wyka czytał np. opinię Z. Stefanowskiej o bliskości „założeniom współczesnej antropologii” niektórych postulatów i stwierdzeń z *Rzeczy o wolności słowa* czy Z. Łapińskiego o „nowatorstwie” Norwida-myśliciela społecznego (obie prace w zbiorze: *Cyprian Norwid. W 150-lecie urodzin. Materiały konferencji naukowej 23-25 września 1971*. Pod redakcją M. Żmigrodzkiej. Warszawa 1973: Z. S t e f a n o w s k a. *Norwidowski Farys* s. 24; Z. Ł a p i ń s k i. „*Spółczesny ekstrem*” s. 123). Jeszcze bardziej zapewne zaciekać by go mogła wypowiedź J. Starzyńskiego (*Zaczyn nowego kierunku badań nad sztuką* w „norwidowskim” zeszycie „*Poezji*” 1971 nr 9 s. 79-81). Pozwólmy sobie na szersze przytoczenie, idzie bowiem o przykład „niby-naukowości” Norwida, uważany przez Wykę za „klasyczny” (50). Współczesny historyk sztuki dostrzega w Norwidzie „wielkiego filozofa kultury”, w ideach estetycznych *Promethidiona* „od czasów Młodej Polski [...] chleb powszedni naszych dyskusji teoretycznych, a nawet

---

<sup>8</sup> Studium T. Lewaszkiewicza, B. Walczaka i H. Zgólkowej pokazuje, że i ta sfera aktywności Norwida zasługuje na uwagę (*Cyprian Kamil Norwid jako lingwista i filolog*. „*Studia Polonistyczne*” 11-12:1983-1984 s. 165-204).



popularnych pogadanek”, w *Assuncie* zaś „przykład na wskroś nowoczesnego, wręcz prekursorskiego – w znaczeniu metodologicznym i historycznym! – pojmowania szczegółowych zagadnień sztuki i prowadzenia ich analizy”. Dotyczy to zwłaszcza, zdaniem badacza, Norwidowego komentarza do poematu, osławionego przypisu, w którym „nakreślono w sposób ścisły, a porywający zarazem, cały program integralnego badania fenomenów artystycznej kultury poprzez pryzmat pojedynczego dzieła czy gestu, program, w którym wyraża się zdumiewająca zdolność historycznego odczytywania wielostronnych, niepomierne złożonych powiązań i zależności kulturowych”.

Nie wydaje się jednak, aby to inni musieli skłaniać Wykę do rewizji niektórych surowych wcześniej sądów o Norwidzie i jego badaczach, choć i takie sytuacje miały miejsce<sup>9</sup>. Liczne przykłady takich samorzutnych, wielkodusznych korektur znajdziemy w omawianej tu książce.

Jak widzimy, w ewolucji stosunku Wyki do Norwida dostrzec można to, co on sam tak wcześnie i przenikliwie dostrzegł w stosunku Norwida do świata (*Starość Norwida*). Bunt i zadzierzystość przycichają, ambiwalencja przyciągania i odrzucenia przemienia się w wybaczące zrozumienie i afirmację.

4. Wartościowanie. Przyjrzenie się określeniom, którymi Wyka wartościuje sztukę i myśl Norwida, prowadzić może do ciekawych wniosków. Najczęściej pojawiają się słowa wskazujące na (odpowiednio, w ilości malejącej) *oryginalność*, *piękność*, *wspaniałość*, *mistrzostwo*, *doskonałość*, *znakomitość*, *precyzję*, *przedziwność*, *wrażliwość*, *genialność*, *umiejętność*, *bogactwo*, *rzadkość* dorobku Norwida. Zdecydowana większość tych określeń ma wyraźnie szerszy niż estetyczny charakter, jakkolwiek część „technicznych” określeń dotyczy także „artystycznych” rozwiązań. Królująca „oryginalność” wielokrotnie jest wzmacniana stwierdzeniami, że w pewnych zakresach Norwid jest „jak nikt”, „największym” u nas, „nie posiada na pewno godnego rywala w poezji polskiej. Jest mistrzem absolutnie samotnym” (144). Często u Wyki Norwid jest „naj-”: jest więc „najbardziej złożonym artystą polskim” (7), „najgłębszym polskim pisarzem religijnym” (220), „najbardziej skomplikowanym i najtrudniejszym pisarzem polskim” (223), „najwspanialszym eseistą polskim” (345), „największym u nas mistrzem lapidarności [...], zwięzłości pełnej stłumionego

<sup>9</sup> Nawiązując w późnym szkicu o Różewiczu „do Norwida teorii milczenia i przemilczenia, wyłożonej w jego mało cytowanej, a oryginalnej rozprawie *Milczenie*”, i dochodząc do wniosku, że poglądy poety „nie są bynajmniej dziwactwem intelektualnym tego upartego samouka”, Wyka lojalnie dodaje, że przekonały go o tym rozprawy o zjawisku milczenia I. Dąbskiej (*Baczyński i Różewicz*. Kraków 1994 s. 221).

wzruszenia”, którego *Vade-mecum* to „największy przełom w poezji polskiej, po Słowackim i aż do Leśmiana największy i najgłębszy” (*Rzecz wyobraźni* s. 46, 372). Od czasu *Listu do Jana Bugaja* zestawienie jakichś rozwiązań artystycznych z wzorem Norwida to, w opinii Wyki, „pochwała najwyższa”.

Generalnie można powiedzieć, że szczególnie przyciągają uwagę Wyki dwie grupy dzieł autora „*Ad leones!*”: takie, w których swobodnej gry fantazji i wyobraźni poetyckiej nie obciąża pierwiastek tendencyjności i dydaktyzmu, oraz te, w których najbardziej bezpośrednio przeświecają pierwiastki postawy moralnej i filozoficznej Norwida. Szczególnie wrażliwy jest na prozę, zwłaszcza wspomnieniową, fascynuje go korespondencja Norwida, ale zachwyca się też poematami („*A Dorio ad Phrygium*”, *Wędrowny Sztukmistrz*) i niektórymi lirykami, zwłaszcza z *Vade-mecum*. Widzieliśmy jednak wyżej, że z czasem zakres tego, co akceptowane, rozszerza się, a przedmiotem zachwyty stać się może nawet rozprawa estetyczna o Courbecie (346) czy esej *Milczenie*. Stąd nie dziwi późna opinia krytyka o prozie Norwida, która, jako całość, ukazuje „jedność [...] najwspanialszego eseisty polskiego, o czymkolwiek on mówi i jak mówi, czy ma rację, czy nie ma racji. Czy jest «przestarzały», czy jest «nowoczesny»” (345).

We wszystkich wartościowaniach Wyki dominuje, jak się zdaje, krytycznoliterackie i ideologiczne podejście do poety. Wykowska lektura Norwida daleka jest od postawy estetycznej i wiecznościowej, ahistorycznej, zawsze jest formą ożywiania tradycji, aktualizacji, czerpania z niej dla współczesności. Jeśli pojawiają się oceny artystycznych walorów dzieł Norwida, a zdarza się to nierzadko, zawsze prawie ich motywacją jest nie tylko, a często nie głównie – estetyczna. Mówi więc Wyka o doskonałym artystycznie ujęciu c z e g o ś: tematu rzeźby, poczucia bezdziejowości, problematu pracy, sytuacji społecznej artysty, zadań sztuki itd. To c o ś jest składnikiem wartości, często zasadniczym.

Pora na pewne usprawiedliwienie kształtu i charakteru niniejszych uwag. Są one fragmentaryczne i niewątpliwie stronnice, w tym sensie, że dotyczą niektórych zjawisk w myśleniu Wyki o Norwidzie (ale też w tradycji i dniu dzisiejszym badań nad Norwidem) kontrowersyjnych, pobudzających nadal do dyskusji. Z natury więc rzeczy „recenzja” nie oddaje całej prawdy o omawianej tu książce, zamiast neutralnego opisu i wyważonej oceny proponuje (często polemiczny) dialog. A chodzi wszak o dorobek w norwidologii jeden z najcenniejszych i najbardziej złożonych, dorobek, do którego często nawiązują późniejsi badacze i miłośnicy poety. Idzie o to, aby te nawiązania nie ograniczały się jednak, co nierzadko bywa, do stwierdzeń, że „pisał o tym (cenne uwagi poczynił... itp.) Kazimierz Wyka”. Pozostając bogatym źródłem wiedzy, kopalnią ujęć i analiz trafnych i przenikliwych, powinien też

bowiem dorobek i wzór Wyki-norwidysty stać się (a ma po temu wszelkie dane) żywotnym źródłem inspiracji.

### Grażyna K r ó l i k i e w i c z – W POSZUKIWANIU NORWIDA

Zofia S t e f a n o w s k a. *Strona romantyków. Studia o Norwidzie*.  
Towarzystwo Naukowe KUL. Lublin 1993 ss. 157.

Ta niewielka rozmiarami książka stanowi bezsprzecznie jedno z najważniejszych wydarzeń norwidologii ostatnich lat. Wnosi do współczesnych badań nad Norwidem o wiele więcej, niż obiecywała sobie po niej sama Autorka, zastrzegając z surową skromnością w końcowym „Usprawiedliwieniu”, iż są to jedynie dawne szkice „poddawane próbie przedruku” (s. 153), niektóre po upływie z górą dwudziestu lat, z całą świadomością i obawą ryzyka konfrontacji z nagromadzonym tymczasem sporym dorobkiem wiedzy o Norwidzie. Warto podkreślić, iż to mierzenie się z aktualnym stanem norwidologii jest w książce Stefanowskiej pasjonująco – chciałoby się powiedzieć – sportowe, bez przysądzania sobie handicapu; jeśli pominąć niezbędne skorygowania redakcyjno-edytorskie, jak uzgodnienie cytatów z *Pismami wszystkimi* opracowanymi przez J. W. Gomulickiego (trzy spośród pomieszczonych w *Stronie romantyków* artykułów pochodzą z lat sześćdziesiątych, a więc jeszcze sprzed pojawienia się „białego 11-tomowca”), to zmiany w tekście samych szkiców są właściwie niewielkie, wprowadzone tam, gdzie z perspektywy lat Autorkę raziły pewne uproszczenia, jak w przypadku fragmentów poświęconych Mickiewiczowi.

Trudniejszy problem – pisze Stefanowska – stanowiła literatura o Norwidzie, tak bogata i znacząca w ostatnich dziesięcioleciach. Być może należało ją przypiskowo wyliczać. Ale jeśli odnotowywać w przypisach, to przecież także wybierać, oceniać, konfrontować z własnymi sądami. Więc właściwie pisać rzecz od nowa, już nie zbiór artykułów, ale jakąś k s i ą ż k ę i n n ą [podkr. – G. K.] (s. 153).

Książka taka powstała jednak, gdyż mimo wszystkich zastrzeżeń i należytą topiki skromności autorskiej *Strona romantyków* jest całością innego rodzaju niż bywają zbiory artykułów. Tu weszło ich sześć. Przypomnijmy ich dawne, dobrze znane norwidologom tytuły: *Norwid – pisarz wieku kupieckiego i przemysłowego* (1968), *Norwidowski romantyzm* (1968), *Norwida spór o powstanie* (1964), *Norwid o niewoli narodowej* (1985-1986), *Norwidowski „Farys”* (1973) oraz *Norwid a poemat dygresyjny* (1993). Z wyjątkiem ostatniego wszystkie szkice były publikowane w „Pamiętniku Literackim”, „Studia Norwidiana” i księgach zbiorowych. Odnotowuję daty